TOŻSAMOŚĆ · #POLITYKA NARODOWA

AUTOKRYTYKA MŁODEGO POSTENDEKA

Wojciech Niedzielko · 22 sierpnia 2026



„Jesteśmy ludźmi, nie ideologią" – krzyczy tęczowa młodzież, gdy ktokolwiek chociażby zasugeruje, że LGBT to coś więcej niż tylko akronim oznaczający tzw. osoby nieheteronormatywne. Stwierdzenie, że coś jest ideologią lub że ktoś „wyznaje" jakąś ideologię, jest stwierdzeniem z pogranicza obelgi – ideologia jako taka kojarzy się bowiem z pragnieniem narzucenia własnego światopoglądu innym osobom, często wbrew ich woli.

Najwięcej medialnego szumu wokół „ideologii LGBT" wywołały oczywiście słowa Andrzeja Dudy podczas ostatniej kampanii prezydenckiej. Dotychczas monopol na oskarżanie kogoś o ideologizowanie miały środowiska kojarzone z liberalnym establishmentem. Stygmatyzacja dotykała często środowisko narodowe – sam Adam Michnik ewokował przecież „demona polskiego nacjonalizmu", a salonowy inteligent, zwalczając rodzimą kołtunerię, mógł uczynić zadość wymogom własnego sumienia. A wróg ponoć nie był wyimaginowany – instynktowna ksenofobia, wrodzona ciemnota, nieuleczalne wstecznictwo, słowem: ciemnogród, miały być nieodłączną częścią tożsamości Polaka-katolika. Na tych cechach miały żerować polityczne reinkarnacje endecji, z których najbardziej znaczącą była Liga Polskich Rodzin.

> Czy aby jednak obawy salonu III RP były uzasadnione, patrząc nawet z liberalnej perspektywy? Czy może nieco przecenił on swojego politycznego wroga bądź po prostu wzniósł chochoła,

> którego można było wdzięcznie atakować, mobilizując przy tym elektorat? Być może Waldemar Łysiak powinien pisać nie o salonie kłamców, lecz o salonie głupców. Patrząc na obecną żenadę „totalnej opozycji" – mowa tutaj, rzecz jasna, o konglomeracie partyjno-medialno-intelektualnym – książka Łysiaka z takim tytułem byłaby bardziej aktualna.

Jak skończyło ucieleśnienie „demona polskiego nacjonalizmu", czyli LPR, obrazuje najlepiej droga polityczna jego byłego lidera. Kogo nie obeszły ciarki wstydu podczas oglądania podskakującego Giertycha na manifestacji Komitetu Obrony Demokracji? Ale czego nie robi się w imię *realpolitik*, wszak nie tak dawno temu niektórzy w polskim środowisku narodowym bez cienia żartobliwości mówili, że „Roman ma plan".

Hasło polityki realnej nie zostało tutaj przywołane jedynie dla złośliwości. Realizm polityczny do dziś jest przedstawiany jako szczególna własność spadkobierców endecji, zazwyczaj w opozycji do neoromantycznej polityki spadkobierców sanacji. Chyba każdy narodowiec miał w swoim życiu epizod, w którym z wypiekami na twarzy czytał erudycyjne wywody Dmowskiego o tym, że w polityce liczą się tylko siła i słabość, o zasadach ekonomii krwi, o wytrwałej narodowej pracy organicznej, która w przeciwieństwie do pracy organicznej pozytywistów za pierwszy cel stawiała sobie dobro narodu.

Dzięki środowisku politycznemu Romana Giertycha polska idea narodowa została przekopiowana w XXI w. Chcąc nie chcąc, nawet piszący te słowa w młodzieńczym okresie swojego życia całkiem przypadkowo natknął się na szyld Młodzieży Wszechpolskiej. Po upadku LPR-u i dezercji jej lidera kilkudziesięciu osobom nadal chciało się pchać przysłowiowy wózek. Jeśli mamy przypisać jakąś trwałą zasługę Giertychowi, to będzie nią właśnie reaktywacja ruchu narodowego w III RP, dzięki której polski nacjonalizm wszedł do mainstreamu politycznego i z lepszymi bądź gorszymi efektami jest w nim do dziś.

Na tym lista zasług się kończy. Prawdą jest, że Liga pod przywództwem Giertycha osiągnęła spore sukcesy polityczne, ale poddane próbie historii okazały się sukcesami krótkotrwałymi. Byli członkowie LPR-u zasilili prawie wszystkie okrągłostołowe partie, czasem tłumacząc to, a jakże, potrzebą prowadzenia polityki realnej, rozwalania systemu od środka, zdrowym rozsądkiem i tak dalej. Wszak Roman Dmowski był posłem do carskiej Dumy!

Nie ma chyba bardziej kuriozalnej sytuacji niż ta, w której specjaliści od *realpolitik*, pogromcy neoromantyzmu i piewcy politycznej skuteczności koniec końców ponoszą sromotną polityczną klęskę, aby pełnić funkcję dworaków i klaunów w obozach dawnych wrogów.

Co było zasadniczą przyczyną takiego obrotu spraw? Skąd wypływa praźródło nie tylko politycznej, ale przede wszystkim moralnej i ideologicznej klęski polskiego ruchu narodowego prowadzonego przez Giertycha? I co najważniejsze: czy przyczyny te zostały przezwyciężone?

Tradycja polityczna zamiast ideologii

Gdybyśmy chcieli analizować jedynie polityczną koniunkturę, to sprawę potraktowalibyśmy powierzchownie. Nie można umniejszać również wpływu czynników materialno-bytowych poszczególnych działaczy politycznych. Co ma zrobić młody człowiek, który zjadł zęby na rozklejaniu plakatów, rozdawaniu ulotek i knuciu politycznych intryg, kiedy z dnia na dzień jego pracodawca bankrutuje, a szef odpływa ostatnią

szalupą z tonącego okrętu?

Pytanie to mogłoby być zasadne wobec działaczy tzw. partii systemowych, przeżartych koniunkturalizmem i cynizmem. Ale przecież nie mówimy tutaj o okrągłostołowych aparatczykach, tylko o spadkobiercach stuletniej tradycji ruchu narodowego, uczniów szkoły Dmowskiego, dzień i noc mozolnie wykuwających Wielką Polskę. Tu chyba moglibyśmy wymagać czegoś więcej – przegrupowania, przemyślenia kilku spraw, ponownego zwarcia szeregów i wyczekiwania wiatru historii, który – jak się okazało – miał niebawem nadciągnąć. Tak właśnie uczyniła garstka ligowych niedobitków, co przyniosło nieoczekiwany efekt w postaci fenomenu Marszu Niepodległości.

Nie umniejsza to jednak skali porażki Ligi Polskich Rodzin i degrengolady jej byłych działaczy z liderami na czele. Wybór politycznych dróg, którymi zaczęli podążać ku zażenowaniu swoich ekskolegów, każe jednak zapytać, czy ruch narodowy ery giertychowskiej w ogóle miał w sobie jakąś ideologię, jakiś kompas metapolityczny, czy raczej należy mówić o zamiennikach ideologii, jej substytutach, które nadają danej grupie wewnętrzną spoistość i mobilizują aktyw, ale nic poza tym?

Niektórzy starsi koledzy mogliby się obrazić na sam dźwięk słowa „ideologia". Jak bowiem pisał nie kto inny, tylko sam Roman Dmowski, należy wystrzegać się wszelkich „-izmów", a co za tym idzie, także ideologii, która w skonkretyzowanej formie musi przybrać formę jakiegoś „-izmu". Stąd nie powinno mówić się o polskim nacjonalizmie, tylko polskim ruchu narodowym, i nie o ideologii ruchu, tylko idei. Tak brzmi wykładnia jednej z podstawowych prawd endeckiej wiary, które przedstawiał w swojej szkole Dmowski. *Roman locuta, causa finita*.

W praktyce ten retoryczny wybieg zmieniał tylko tyle, że w medialnej przestrzeni łatwiej było odeprzeć liczne zarzuty o ideologiczną indoktrynację czy promowanie postaw nacjonalistycznych – oba bowiem sformułowania kuły w uszy elektorat, który przecież trzeba było pozyskać. *Casus* ten jednak dobrze oddaje najwydatniejszą cechę neoendeków – epigonizm. Ideologia została zastąpiona tradycją polityczną (idącą po linii giertychowskiej frakcji Stronnictwa Narodowego), gardłowanie o wielkiej idei zastąpiło wielką ideę, zamiast żywej, krytycznej myśli przerzucano się cytatami z klasyków niczym z Pisma Świętego, a w miejsce oryginalnej publicystyki i pracy wydawniczej wszedł zatęchły antykwaryzm. Największym przewinieniem, najcięższym grzechem było odłączenie się od szczepu – zdrada, zupełnie jak przed wojną, gdy niektóre frakcje narodowców zbaczały z „prawowitej" drogi. Podważanie mitów wyrosłych z tejże tradycji politycznej oznaczało podważanie samych fundamentów ruchu[1]. A podważanie fundamentów ruchu prowadziło wprost do sabotowania budowy Wielkiej Polski, ponieważ tak jak poza Kościołem katolickim nie ma zbawienia, tak poza polską ideą narodową nie może istnieć coś takiego jak silne państwo polskie.

Taka mentalność doskonale mobilizowała grupę i nadawała jej radykalny, fanatyczny sznyt. Faktycznym skutkiem było także – nie bójmy użyć się tego słowa – sekciarstwo, które daje o sobie znać po dziś dzień. Dla neoendeków patriotyzm w pierwszej kolejności oznacza umiłowanie własnej tradycji politycznej – tradycji jako wartości samej w sobie. Zamach na endecką tradycję to zamach na Polskę.

O wielkim pietyzmie dla tradycji politycznej świadczy fakt, że orbitujące wokół środowiska firmy wydawnicze specjalizują się wręcz w publikowaniu przedruków sprzed kilkudziesięciu lat, które są uważnie studiowane przez kolejne generacje młodych narodowców. Nie ma chyba drugiego tak przesiąkniętego antykwaryzmem środowiska, jak polski ruch narodowy. Kogo można wydawać, skoro nikt nie chce pisać –

ktoś może zapytać. Ale po co pisać, skoro wszystko zostało już wyłożone, objaśnione, należy tylko dokonać uwspółcześnienia i skutecznymi metodami wcielać wielką ideę w życie?

Nie idzie tutaj o wzmożoną, przeintelektualizowaną działalność, która – jak również pokazuje życie – często kończy się na nic nieznaczących dąsach i wątłych pohukiwaniach. Działalność polityczna jest nieuniknioną konsekwencją działalności publicznej. Bez wątpienia trzeba przyznać, że współczesnemu pokoleniu nacjonalistów brakuje zacięcia politycznego, swoistego parcia na politykę. Niemniej jednak bez solidnych metapolitycznych podstaw, krytycznego namysłu nad tym, w co się wierzy, bez szczerego i dogłębnego próbowania własnej idei w ogniu dyskusji, polityka szybko zamienia się w politykierstwo, a polityczny realizm w oportunizm.

Po przeszło trzydziestu latach funkcjonowania w nowej rzeczywistości politycznej polski ruch narodowy nie dał odpowiedzi na najbardziej podstawowe pytania: czym jest naród? Kto do niego należy? Po co właściwie człowiekowi naród? Czy ludzie go sobie „skonstruowali", a jeżeli nie, to na czym polega jego „naturalność" i jakie ma ona znaczenie etc. Odpowiedź na te pytania bynajmniej nie załatwia sprawy, życie społeczne to nie mechanizm z pokrętłem, które można ustawiać wedle własnej woli po zdobyciu wiedzy tajemnej. Ale czy ktoś znalazł na to lepszy sposób niż połączenie pracy społecznej i politycznej z pracą intelektualną? Zresztą w pierwszej kolejności nie powinno nam chodzić o „plan", tylko o zaspokojenie własnej ciekawości, o elementarną chęć poznania prawdy, o nadawanie własnemu i zbiorowemu życiu sensu.

Ta ciekawość została w naturalny sposób zabita chorobliwym przywiązaniem do określonej tradycji politycznej. To w pismach klasyków (Dmowski, Giertychowie, ewentualnie konserwatywni pisarze katoliccy) należało szukać odpowiedzi na nurtujące pytania i wątpliwości. Nacjonalizm Stronnictwa Narodowego i jego współczesnych kontynuatorów jest tutaj zwieńczeniem polskiego nacjonalizmu jako takiego. Fiksacja na punkcie własnego obozu i konieczności jego budowania przesłoniła fakt, że w centrum zainteresowania każdego nacjonalizmu powinien stać przede wszystkim naród – nikt nie dopuszczał w ogóle możliwości, że własny obóz polityczny, pomimo niesienia sztandarów ze Szczerbcem, mógł błędnie interpretować interes narodowy lub w niektórych momentach dziejowych nawet mu szkodzić. Zabrakło spojrzenia na nacjonalizm z szerszej, historycznej perspektywy – obecnie mówi się o trzech falach nacjonalizmu, które głosiły niekiedy sprzeczne hasła. W omawianym kontekście reaktywowany ruch narodowy w III RP ideowo był *de facto* przedłużeniem drugiej fali, po której odziedziczył spadek z dobrodziejstwem inwentarza.

Ruch narodowy do nowej rzeczywistości społeczno-politycznej przeszczepił także tendencję do przypisywania dużego znaczenia zakulisowym grom, tajnym związkom czy międzynarodowym spiskom z jednej strony, a z drugiej do pomijania woli politycznej, ideologii, światopoglądu czy nawet roli zwykłego przypadku. W przedwojennej publicystyce występuje nadpodaż treści dotyczących masonerii i międzynarodowego żydostwa. Były to dwa uniwersalne klocki, które pasowały do każdej logicznej układanki, odkrywającej rzekomo skrzyżowanie twardych, przeważnie ekonomicznych interesów. Pomijając fakt, iż taka agenda wynikała w dużej mierze z oparcia się na drobnomieszczańskim elektoracie i z „klimatu", jaki panował wówczas w Europie, myślenie to deprecjonowało sprawczość i woluntaryzm grupy politycznej. Realna podmiotowość zawsze leżała gdzieś poza zasięgiem ręki polityka, zawsze należało ją odczytywać w skomplikowanej grze obiektywnych interesów. Być może ta mentalność była jedną z przyczyn, dla której główny nurt polskiego ruchu narodowego po przewrocie majowym nie miał za bardzo pomysłu,

jak sięgnąć z powrotem po władzę. Koniec końców to znienawidzony Piłsudski okazał się większym realistą w tej materii.

Współcześnie oprócz wspomnianego oportunizmu byłych frontmanów ruchu narodowego prymat polityki zakulisowej nad polityką masową, interesu materialnego nad ideą, ma jeszcze jeden negatywny skutek. Endecka spiskologia przygotowała na prawicy podatny grunt na treści płynące z tzw. filmów z żółtymi napisami. Abstrahując od wątpliwych źródeł, na których opierają swoje rewelacje różni kuglarze, większość teorii spiskowych spina się w niezbyt przenikliwym wniosku, że tak naprawdę chodzi tylko o „władzę i kasę", że wszelkie ideologie zostały powołane właśnie w tym celu. W swojej istocie jest to postawa wsteczna: nie tylko rewolucje, lecz także głębokie ewolucyjne zmiany społeczne, choć najczęściej sprzyjały im określone warunki socjoekonomiczne, wyrastały z danego podglebia intelektualnego. Nie byłoby filozofii katolickiej bez św. Augustyna i św. Tomasza, nie byłoby rewolucji francuskiej bez Rousseau, nie byłoby sowieckiego komunizmu bez Marksa i Lenina. Wszystkie ideologie i światopoglądy to w gruncie rzeczy systemy wartości, których nie można zamknąć w bytowo-materialnych ramach. Ktoś złośliwy może w tym miejscu dodać, że najczęściej widzimy świat taki, jacy sami jesteśmy i jakiego sami pragniemy. Źle pojmowany realizm, realizm – jak go zgrabnie zdefiniował Ronald Lasecki – mierzony łokciem kramarza, w ostateczności przyczynia się do błędnej oceny rzeczywistości, ponieważ nie uwzględnia czynników wolicjonalnych i irracjonalnych w ludzkim działaniu. Tu także zachodzi sprzężenie zwrotne – skoro liczą się tylko interesy, to zgłębianie świata idei wydaje się nudne, nieatrakcyjne czy wręcz zbędne. Oczywiście z wyjątkiem znajomości „klasyków" polskiego ruchu narodowego.

Inną składową głównego nurtu polskiego nacjonalizmu był i jest katolicyzm. Koncepcja nacjonalizmu chrześcijańskiego jest dość znana i nie ma sensu jej tutaj szczegółowo omawiać. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że każdy działacz narodowy na pamięć zna formułkę o hierarchii bytów, na których czele stoi Bóg, a w świecie doczesnym pierwsze miejsce przypada narodowi. Jak się ma to do powyższych zarzutów o skostnienie i brak ideologii?

Pozostają one w znacznej mierze zasadne. Jakkolwiek polska synteza katolicyzmu i nacjonalizmu jest czymś zasadniczo wartościowym, polski ruch narodowy w III RP oparł się na formułach wypracowanych przed kilkudziesięcioma latami, nie widząc potrzeby ich przepracowania i aktualizacji. W tym czasie katolicyzm przeszedł duże przeobrażenie, czego wyrazem są zmiany w Kościele dziejące się po soborze watykańskim II. W drugiej połowie XX w. Kościół dogłębniej zajął się tematem kultury i tożsamości oraz wyzwaniami świata współczesnego (soborowa konstytucja duszpasterska *Gaudium et spes*). W Polsce za sprawą kard. Stefana Wyszyńskiego, papieża Jana Pawła II i później ks. prof. Czesława Bartnika wypracowano oryginalną teologię narodu. Polski nacjonalizm czerpie z tego dorobku wybiórczo, nie wnikając zbytnio w całokształt filozofii personalizmu, na której została oparta polska teologia narodu. A co do zasady – jest ona nastawiona do nacjonalizmu negatywnie, nawet biorąc poprawkę na jego chrześcijańską i specyficznie polską wersję.

Cóż bowiem znaczy, że naród stanowi „najwyższą wartość doczesną"? Personalizm jednoznacznie w centrum swojego zainteresowania stawia „autonomiczną wartość człowieka jako osoby" – to ona jest fundamentem i wyznacznikiem tej filozofii, nie zaś naród. Jak pisał ks. Bartnik, naród może stanowić najwyższą wartość doczesną tylko pod warunkiem, że będzie on „narodem osób". A czym się różni „naród osób" od zwykłego „narodu"? Takie pytania można mnożyć, zwłaszcza że społeczne nauczanie Kościoła i posoborowa teologia są wręcz programowo nieprecyzyjne.

O ile przedwojenny nacjonalizm potrafił wypracować oryginalne (choć niekoniecznie zawsze słuszne) propozycje ustrojowe, gospodarcze i społeczne, nierzadko balansując na granicy społecznego nauczania Kościoła lub wychodząc poza jego obręb (*vide* totalistyczny program RNR „Falanga"), o tyle z czasem zaczął tracić własną autonomię ideową. Można nawet pokusić się o tezę, że funkcjonalnie polski ruch narodowy w III RP jest mocno zakonserwowaną chadecją z głośną i wyraźną narracją w sprawach, w których nie zachodzi konflikt z nauczaniem Kościoła. W ostatnich latach pojawił się zgrzyt w postaci stosunku do migrantów. Co znamienne, hierarchia kościelna zareagowała wówczas alergicznie, nie tylko piętnując sprzeciw wobec przyjmowania jakichkolwiek uchodźców, lecz także przypominając o różnicach między patriotyzmem a nacjonalizmem. Narodowcom zaś udzielił się syndrom bitej żony.

W praktyce politycznej – dotyczącej spraw wewnętrznych – nacjonalizm chrześcijański w III RP potrafił zająć jednoznaczne stanowisko tylko w kwestiach bioetycznych i obyczajowych. Mowa oczywiście o aborcji, eutanazji i stosunku do mniejszości seksualnych. Kwestie te zazwyczaj rozpalały w aktywie i elektoracie największe emocje, co przekładało się na mobilizację, a w konsekwencji na mentalność oraz tożsamość ruchu. Tymczasem wali się ustalony porządek: polskie społeczeństwo gwałtownie się laicyzuje, głos Kościoła traci swój dawny autorytet, permisywizm staje się coraz powszechniejszy. Formuła Polaka-katolika, którą z powodzeniem wyzyskiwał ruch narodowy i polska prawica w ogóle, powoli przestaje mieć znaczenie. Jeśli polscy narodowcy w porę nie dostrzegą tych zmian, zamienią się w skansen.

Czy problem jest aktualny?

Opisane wyżej cechy polskiego ruchu narodowego nie zostały wykorzenione przez nowe pokolenie aktywistów, którzy związali się z nim na fali Marszu Niepodległości i tzw. mody na patriotyzm. Lata 2010–2015 zostały zdominowane przez kult Żołnierzy Wyklętych i łączący się z nim antykomunizm. Schemat był prosty: estabilishment medialno-polityczny jest w prostej linii spadkobiercą „komuny, która upadła na cztery łapy", naszym zaś celem jest „obalić Republikę Okrągłego Stołu". Mit Żołnierzy Wyklętych doskonale się wpasował w tę narrację, ciesząc się dużym zainteresowaniem ze strony patriotycznie nastawionej części społeczeństwa.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że wówczas to polityka historyczna zastąpiła ideologię. Owszem, nacjonalizm jako taki zawsze będzie odwoływał się do historii i opowiadał ją na nowo, a samej mobilizacji społeczeństwa nie da się przecież ani zaplanować, ani stworzyć – trzeba umiejętnie wykorzystać moment wrzenia, wejść na falę i na niej płynąć. Trzeba jednak powiedzieć, że zabrakło wówczas szerszej refleksji oraz próby odpowiedzi na pytanie, dokąd ruch narodowy właściwie zmierza i jaka jest jego tożsamość[2]. Warunki cieplarnianie nie sprzyjały tego typu rozmyślaniom – liderzy i najbardziej zaangażowani działacze byli pochłonięci pracą organizacyjną, na której efekty nie trzeba było długo czekać. Przekaz kierowany do sympatyków był prosty: należy kochać Polskę, to znaczy trzeba zapisać się do jakiejś organizacji narodowej lub po prostu każdego dnia pracować organicznie na rzecz kraju i w ten oto sposób kiedyś powstanie Wielka Polska – cokolwiek miałoby to znaczyć. Paradoksalnie sukcesy narodowców, takie jak zdominowanie polityki historycznej czy wprowadzenie tradycji ruchu narodowego na salony, dużo mówią o nieprzepracowanej tożsamości ruchu. Gdy centroprawica sięgnęła po pełnię władzy w 2015 r. i bez ceregieli zaczęła wyzyskiwać patriotyczną narrację, polski nacjonalizm stracił jakby rozpęd. Wszak mamy w końcu rząd i prezydenta, którzy mówią dużo o Polsce, a na dodatek od czasu do czasu wspomną o doniosłej roli Romana Dmowskiego. Misja została wykonana.

Mentalność aktywistów organizacji narodowych była nastawiona na przeprowadzanie rozmaitych, najczęściej głośnych, medialnych akcji. Rzecz jasna, podkreślano potrzebę formacji intelektualnej, lecz w praktyce była ona ograniczona do przerabiania dzieł klasyków myśli narodowej i próby dopasowywania ich myśli do czasów współczesnych. Stąd wynika m.in. nikłe zainteresowanie prądami ideowymi i filozoficznymi, które rozwijały się poza szeroko rozumianą bańką konserwatywno-narodową. Zresztą formacja ta była i jest w dużej mierze powierzchowna – wpisana w kulturę organizacyjną, której fundament, jak już wielokrotnie podkreślono, opiera się na tradycji historycznej ruchu. Innymi słowy, moralny nakaz brzmi: musimy się formować, ponieważ przed wojną obóz narodowy stanowił intelektualną potęgę. Nie chodzi o zwykłą ciekawość świata, chęć poznania prawdy czy zdobywania wiedzy dla samej wiedzy – chodzi o zbliżenie się do ideału sprzed lat.

Jako osoba biorąca aktywny udział w budowaniu ruchu narodowego wielokrotnie słyszałem z ust liderów i szeregowych działaczy, że istotą narodowca powinien być czyn. Nieraz drwiąco wypowiadano się o kawiarnianych dyskutantach, którzy wolą „gadać" o rewolucji francuskiej niż wyjść na ulicę i zorganizować manifestację. Wiele z tych bardzo aktywnych niegdyś osób obecnie albo nie robi nic (zajmuje się „życiem"), albo znalazło się poza środowiskiem narodowym. Notabene „czyn" często polegał na akcjach *stricte* medialnych, które tak naprawdę wymagały pomysłu oraz przyciągnięcia uwagi dziennikarzy. Mityczna działalność społeczna, owa niezliczona sieć formalnych i nieformalnych podmiotów wykonujących mrówczą pracę u podstaw, często okazywała się propagandą sukcesu skierowaną do wewnątrz i na zewnątrz ruchu. Należy dodać, że zarzut deprecjonowania pracy intelektualnej nie jest nowy – w 2016 r. na łamach „Polityki Narodowej" ówczesny kierownik główny ONR, Aleksander Krejckant, podkreślał w udzielonym wywiadzie potrzebę stworzenia „mody na intelektualizm". Potrzeba ta jest wciąż aktualna.

Ważnym czynnikiem spajającym aktyw organizacji narodowych są zaspokojenie potrzeby przynależności do grupy rówieśniczej i zawiązane przyjaźnie. Nie ma w tym nic złego ani nadzwyczajnego – gorzej, jeśli czynnik ten staje się kluczowy dla funkcjonowania organizacji. Konsekwencją takiej postawy na gruncie politycznym jest rozpoznanie wroga lub przyjaciela nie przez pryzmat jego ideowej postawy lub poglądów, ale przez pryzmat powiązań personalnych. Również i to niekiedy było przedstawiane jako sukces ruchu („jesteśmy wszędzie"), ale jednocześnie osłabiało jego ideową tożsamość. Inaczej rzecz ujmując, poza oczywistymi względami wynikającymi z przywiązania do religii katolickiej i powiązaniami personalno-organizacyjnymi w zasadzie nie wiadomo, co oznacza bycie narodowcem i czym tak naprawdę jest nowoczesny polski nacjonalizm. W gruncie rzeczy granica między nacjonalizmem a konserwatyzmem, a nawet jego liberalną odmianą, jest bardzo płynna.

Budowanie wspólnoty opartej na sentymencie i związkach przyjaźni przy jednoczesnym braku potrzeby wypracowania pogłębionej ideologii nieuchronnie prowadzi do depolityzacji aktywu i w dalszej perspektywie do jego demobilizacji. Podkreślmy, że mowa tu nie o tej „oficjalnej" stronie medalu, ale faktycznej, którą każdy działacz narodowy zna z praktyki. Bądźmy szczerzy: większość członków organizacji narodowych działa, ponieważ zżyło się z grupą rówieśniczą, a „ideologia" jest tylko kwiatkiem do kożucha. Większość po wkroczeniu w dorosłe życie spycha aktywność na drugi plan lub w ogóle ją zarzuca. Nagle okazuje się, że walka o Wielką Polskę jest mniej ważna niż etos mieszczucha, który wyraża się trzech cnotach: praca, dom, rodzina. Czasem ów etos jest wręcz starannie pielęgnowany, jako że rodzina jest „podstawową komórką życia społecznego". Dobra praca, domek na przedmieściach, gromadka dzieci, msza co niedzielę – oto ideał życia społecznego przeciętnego polskiego narodowca. Tymczasem niejaki

„Margot" – aktywista prowadzący życie lumpa – jedną radykalną akcją, po której trafił do aresztu, sprawił, że znaczna część dziennikarzy zaczęła pisać o jemu podobnych, używając żeńskich zaimków, a cała Polska pochyliła się nad „problemem osób transpłciowych". Działa tutaj stara, znana każdemu radykałowi zasada, że bagniste centrum ulega silnym wpływom z lewej bądź prawej strony. Nie chodzi tutaj o pochwałę życia jakiejś politycznej cyganerii. Nie jest to także atak na instytucję rodziny. Wszystko sprowadza się do kwestii, czym naprawdę są dla nas wartości, które wykrzykujemy na manifestacjach i co jesteśmy w stanie dla nich poświęcić? Nasi bohaterowie często oddawali życie za idee – podkreślamy z dumą. Po czym, gdy zapał opada, zamykamy się w czterech kątach i cichutko budujemy domowe ognisko, czyniąc z tego cnotę kardynalną. Nasze osobiste życie zawsze jest najlepszym sprawdzianem naszych haseł, które na poziomie werbalnym są przecież bardzo wzniosłe i radykalne.

Brak autonomicznej ideologii nacjonalistycznej nie zostanie zrekompensowany sprawnością organizacyjną. Można bowiem mieć materialne środki do prowadzenia skutecznej akcji, ale co po tym, skoro nie znamy celu, do którego zmierzamy albo jest on na tyle rozmyty, że co kilka lat kolejna fala energii działaczy idzie jak para w gwizdek? Można być także... skutecznym szkodnikiem.

> **Sprawność organizacyjna, powiększanie zasobów ludzkich i materialnych są wtórne wobec idei i właściwego rozeznania rzeczywistości społeczno-politycznej. I znowu należy dodać, że nie zamierzamy tu lekceważyć żmudnej, przyziemnej pracy, lecz przypomnieć o właściwej hierarchii priorytetów.**

Parcie na profesjonalizację może przyćmić ideę i niejako ją zastąpić – celem samym w sobie staje się wówczas zdobycie kolejnego grantu, zrekrutowanie jeszcze większej liczby osób, zatrudnienie kolejnych osób w organizacji, założenie nowej fundacji czy stowarzyszenia. Może to być działalność sama w sobie bardzo pociągająca, tak jak niegdyś pociągające były marsze ku czci Żołnierzy Wyklętych w Pcimiu Dolnym, na których bez większego wysiłku gromadziły się setki osób. Chodzi o uzyskany natychmiastowy efekt, który przez swoją „namacalność" daje dużą satysfakcję i poczucie ideowego spełnienia. Nie można pozwolić, aby mentalność „profesjonalisty" zastąpiła mentalność „ideowca". Nieustannie musi nam towarzyszyć pytanie: po co to wszystko?

Zamiast podsumowania

Jeśli uznamy, że współczesnemu ruchowi narodowemu brakuje wyrazistej ideologii, jest ona przesiąknięta epigonizmem bądź co gorsza, jest po prostu wydmuszką, to odpowiedź na klasyczne pytanie „co robić?" wydaje się oczywista. Trzeba tę ideologię wypracować. Ten proces został już w polskim ruchu narodowym zapoczątkowany. Jednak naiwne jest myślenie, że zmiana rzeczywistości polega po prostu na wykreowaniu jakiegoś światopoglądu i przekonaniu do niego odpowiedniej liczby osób przy użyciu wyszukanej argumentacji. Życie społeczne to nie akademicka debata. Nacjonalizm XXI w. musi odpowiadać na wyzwania historii, jakkolwiek pompatycznie to brzmi. Tak zresztą było w przeszłości i – co tu dużo mówić – na tej zasadzie opierają się wszelkie znaczące idee. Samo intersubiektywne przekonanie o tym, że nasz światopogląd jest potrzebny jakiejś większej społeczności, nie jest ostatecznym sprawdzianem. Niemniej jednak zanim nasze idee zweryfikuje sprawdzian historii, trzeba „badać każdy twór ducha stupudowym

młotem, bić weń ciężarem, jakim wali w nas los: co nie wytrzyma próby, niech od razu ginie”.

---

1 Próbkę takiego zachowania mieliśmy w sierpniu br. po publikacji na portalu Nowy Ład tekstu dotyczącego roli Józefa Piłsudskiego w bitwie warszawskiej 1920 r.

2 Chlubnym wyjątkiem jest pismo, w którym ukazał się niniejszy artykuł. W ciągu ostatnich dziesięciu lat często publikowaliśmy wbrew temu, co można nazwać oficjalną linią polskiego ruchu narodowego. Wiele naszych artykułów wywołało pozytywny ferment i stało się przyczynkiem do przewartościowania niektórych zagadnień. Niemniej oddziaływanie „Polityki Narodowej” wciąż ograniczone jest do wąskiej grupy odbiorców.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/autokrytyka-mlodego-postendeka/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć